№ 33. Warszawa, dnia 5 (17) Listopada 1880 r. Rok 1.




PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.
POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

**Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,**
w Warszawie: Mesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
**ulica Niecała Nr 8.**

**Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,**
w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

Z dniem 1-ym Listopada, Redakcya przeniesioną została z pod N-ru 10 pod N-er 8, na ulicy Niecałej.

# Uczeń Chrysta wątpiący.

Przecz nie wstanie prawda w Tobie, aby wzlecieć w słońce białe?
Przecz nie zejdziesz tutaj światłem, by spromienić brudne czoła?
Duch Twój, Chryste, nie rozwinie jasnych skrzydeł archanioła,
By wydźwignąć jeszcze z prochu, to upadłych—plemię całe?

Otom schodził tyle ścieżek, nim przybiegłem na tę puszczę—
Przepatrzyłem tyle grodów—i prowincye—i mocarstwa:
Wszędym tylko spotkał jedno!... miasto ludzi—błędną tłuszczę?
W duszach słabych—pełno głupstwa! w duszach silnych—moc kuglarstwa!

Kiedy pytasz ich o Mądrość, ukazują ci—niewiarę!
Kiedy pytasz się o Miłość, ukazują ci—rozpustę!
Wszystko liche! nędzne! małe!... Dusze kłamne... serca puste...
Zawiść w myślach... w czynach bezmoc.... A za bóstwa—cielce stare!

Przez ten obszar krocząc znojny, rozglądałem się po ziemi:
Czy nie znajdę w żółtych piaskach, jako niegdy Mojżesz stary,
Śladów tego Ducha Mocy, święconego przez ofiary,
Co lud Żydów zabłąkany, wiódł szlakami ognistemi?

Bo myślałem: „Tłum ten ślepy, po dniach szału i swawoli,
*On* obdarzy jeszcze znowu Ziemią Dobra Obiecaną,
A wskazawszy mu twarz Twoję, w blaski wszystkich słońc przybraną,
Z Jej cudownych, boskich spojrzeń, pić mu zdrowie już pozwoli!"

Nie znajduję tego Ducha.... Ach! szukałem Go daremnie,
Po przybytkach też modlitwy—wielkich zborach—i bożnicach...
Nie ukazał mi się nigdzie!—nawet, w groźnych błyskawicach,
Gdym Go prosił, by swój piorun—zamiast w świat ten—rzucił we mnie!

Więc—uciekam aż tu, Chryste!... Nie wiem, gdzie mnie kroki wloką,
Ale zda mi się, żeć widzę na płonących tych niebiosach!
Orgia nędzy, aż tu goni.... Chryp rozpusty słychać w głosach...
Fałsz, gra pieśni!... Chuć, szaleje!,.. Pycha, miecie wrzask—szeroko!

I prorocy dawnych czasów—i ich różczki w czar zaklęte,
Leżą martwe pod piaskami...! A dzień coraz w dół ucieka...
Któż dobędzie, siłą cudu, z tych tam tłumów dziś, człowieka?
I kto każe mu to uczcić.... co czci warte i co święte?

Milczysz....
Tylko, z grobów sennych, gdzie ci dawni śpią umarli,
Dzwoni, jakby szept stłumiony: „Nicość w życiu! nicość—w grobie!
Nie odszukać temu Boga, kto proch ziemi nosi w sobie!
Nie odnaleźć nigdy Prawdy—ztąd—człowieczej myśli karlej!"

Więc żyć, Chryste? cierpieć dalej?... patrzeć w mrok ten—w pustkę—w małość?
Iść na wspólną ucztę Głupstwa, zszalejących masek tłumem?
Wierzyć mową? sercem wątpić? błądzić myślą i rozumem?
Lub—jak oni—mieć o pył ten, co się trze pod nogą—dbałość?

Tyś więc nie jest słońcem owem, co nad ziemi czarną rolę,
Miało kiedyś wejść odrazu, wywołane ziemi nocą?
Noc rozproszyć? błąd rozjaśnić? grzech pokonać własną mocą?
I—z promieni własnej tarczy, stworzyć Cnocie aureolę?

Mistrzu! Tyś nie to obiecał—duszy, co się Tobie dała?
Ponad Twoim krzyżem czarnym błyszczy-ż darmo tam korona?
Dźwiga-ż samych oszukanych ziemia, przez Cię opuszczona?
Pustem-ż słowem—Twoja boskość? nikłym-ż blaskiem—Twoja chwała?

Powiedziałeś: „Mniej się robi wielką Mocą, niż Miłością!"
Słucham Ciebie!—Ja, Twój uczeń, zamienię się cały—w serce!
Kochać będę—jak Tyś kochał, gdy męczyli Cię morderce,
I—tak milczeć, jak Tyś milczał—gdyś się modlił nad ludzkością!

Wyjdę jeszcze raz z tej puszczy.... z wiarą w Ciebie!—raz ostatni!
Wziąwszy znak Twej męki w ręce, z rozwieszonem Twojem ciałem,
Stanę tam na *forum* dzikich, przed ich mrowiem rozszalałem,
I—jak Tyś wziął świat w objęcia—ja go wezmę w uścisk bratni!

Po te serca, których szukam, sięgnę aż do ich tam trzewi—
Com zdobywał dotąd groźbą, o to będę prosił—łzami!
Żadna hardość mnie nie zdejmie! żadna pycha nie omami!
Płakać będę!... I—żem był tu—niech nikt, oprócz Ciebie, nie wie!

Chryste!—ale, ta już próba, niech niedługą będzie, proszę....
Boć i boleść ma swój koniec, kiedy czyni swe ofiary!
I mnie chce się już odpocząć, po dniach tylu ciężkiej kary!
I mnie—
Mistrzu!... Prowadź!... idę!...
Patrz! jak mocno Twój krzyż wznoszę!

Z dniem 1-ym Listopada, Redakcya przeniesioną została z pod N-ru 10 pod N-er 8, na ulicy Niecałej.

# GDZIE PRACA
## DLA KOBIET NASZYCH?

III.

### Szycie i Szwaczki.

Po skreśleniu zasad ogólnych, dotyczących pracy kobiecej u nas, wypada mi przystąpić wprost, do bliższego rozpatrzenia się w poszczególnych sposobach *zarobkowania kobiety*, zaczynając od najbardziej rozpowszechnionego, jakim jest *szycie*.

Nic właściwszego, jak żeby kobieta każda, nie wyłączając nawet bogatych, umiała szyć czy to ręcznie tylko, czy też i na maszynie.

W całym świecie (za wyjątkiem podobno jednej Abissynii, gdzie kobiety pogardzają igłą, a wszystkie tego rodzaju zajęcia, wykonywane są przez mężczyzn) prace igielne w sferze zajęć kobiecych, są najbardziej rozpowszechnione i nikt naturalnie przeciwko temu zwyczajowi, nie może mieć nic do zarzucenia.

Inna rzecz jednak gdy zapytamy, czy „praca igłą“ może dać utrzymanie kobiecie i zapewnić jej jakikolwiek spokój, gdy siły się wyczerpią, wzrok się zużyje i nadejdzie... starość.

Autorowie dzieł i rozpraw, na pytanie to odpowiadają prawie jednocześnie w sposób przeczący.

W znanem dziele „Praca kobiet“ p. Wirginii Penny [1]) znajdujemy nader interesujące co do tego uwagi.

Przedewszystkiem sam rodzaj zajęcia fatalnie oddziaływać musi na zdrowie, które dla pracownicy pozbawionej najczęściej wszelkich środków materyalnych, stanowi jedyny i najważniejszy kapitał.

Szwaczki siedząc przy *szyciu* ręcznem, po 12 do 14 godzin na dobę, prawie wszystkie wcześniej lub później zapadają na zdrowiu.

Siedzenie w pochylonej postawie, w miejscach najczęściej zamkniętych i pozbawionych zdrowego powietrza, jest zabójczem dla organizmu pracownicy. Najprzód cierpi organ trawienia, a to jedno prowadzi już, jak wiadomo, do przeróżnych chorób rujnujących zdrowie na zawsze.

Przy tej szkodliwości pracy igielnej pod względem hygienicznym, praca ta, jako praca *zarobkowa* należy w ogólności do najniewdzięczniejszych, najmniej się opłacających.

Dr Reklam w dziele swem „*O zdrowiu i piękności kobiety*“ którego ustępy spotykamy również w książce wyżej wspomnionej, kreśli następujący obraz położenia szwaczek w Niemczech:

„Któraż kobieta, pyta autor, może dziś wyżyć z tego, co zarabia igłą, przy tak ogromnie na zniżenie cen pracy wpływającej konkurencyi fabrykantów?

Przypuściwszy że kobieta pragnąca utrzymać się z szycia, znajdzie zaraz pracę, to w początkach nie zdoła zarobić więcej jak pół talara tygodniowo. Najwprawniejsza szwaczka cienkiej bielizny, pracując igłą nieprzerwanie przez 14 godzin dziennie, zarabia najwyżej 1 i pół do 2 talarów [2]). Do tak wysokiej zapłaty dochodzą tylko takie, które albo np. młodsza siostra, albo matka wyręcza w zwyczajnych zatrudnieniach domowych, ich małego gospodarstwa i które przez długoletnią wprawę, nabrały zręczności w robocie, dały się poznać i wyrobiły sobie stosunki, zapewniające im ciągłą robotę. Większość dobrych i pilnych szwaczek zarabia, przy robotach zwykłych *tygodniowo talara.* Niechże czytelnicy i czytelniczki sami zechcą odpowiedzieć: czy i jak przy takim zarobku, opędzić można wydatki na mieszkanie, życie, odzież, opał i światło; jakim sposobem można cokolwiek zaoszczędzić na przypadek choroby, zwłaszcza gdy obierający palec jest już dla takiej pracownicy chorobą rzeczywistą?

„Ja sam, dodaje autor, z własnych moich spostrzeżeń, jako lekarz policyjny, mógłbym przytoczyć rozdzierające obrazy niewypowiedzianej duchowej i materyalnej nędzy, w jaką popadają robotnice, zmuszone szukać utrzymania w pracy igielnej.“

Jeżeli takie położenie kobiet, dla których jedynym środkiem utrzymania jest *szycie*, widzimy w społeczeństwach, lepiej w ogóle, pod względem ekonomicznym uorganizowanych; to o ileż położenie to gorszem być musi, i jest rzeczywiście u nas?!

Oto co o tem mówią cyfry:

„Panna do kroju bielizny,“ to jest pracownica posiadająca lepszą już kwalifikacyę, zarabia miesięcznie od 10 do 15 rubli.

Zwyczajna szwaczka, pracująca w magazynie, zarabia przy szyciu ręcznem od 3 do 7 rubli *miesięcznie.*

„Panna“ umiejaca krajać bieliznę, a pracująca w domach prywatnych otrzymuje od 20 do 30 kop. dziennie i „życie.“

Pracownica biorąca robotę do domu, dostaje od *sztuki* (od uszycia koszuli) od 30 do 50 i 60 kop.

Pracownica szyjąca na maszynie otrzymuje dziennie od 40 do 50 kop. z życiem.

Wreszcie za całodzienne szycie na maszynie, płacą w magazynach od 8 do 11 rubli miesięcznie.

Zdaje się że cyfry te komentarzy nie potrzebują.

Bo wejdźmy tylko w położenie biednej dziewczyny, która pracując dziennie przez 10 do 12 godzin, jest w stanie zapracować na całkowite utrzymanie 3 a nawet choćby 7 rubli na miesiąc.

A jeżeli panienka ta ma jeszcze obowiązki rodzinne? Jeżeli ma np. schorzałą matkę albo zgrzybiałego ojca?

Trzeba w istocie umieć czuć i myśleć, aby módz pojąć całą fatalność położenia kobiety, której „praca igłą“ ma dać chleb powszedni.

Nie myślę wcale grać na strunach filantropijnych uczuć czytelniczek; pragnąłbym tylko zwrócić uwagę: najprzód na sam fakt eksploatacyi nieszczęśliwych pracownic, powtóre na skutki jakie taż eksploatacya sprowadza, a potrzecie na środki, jakie mogą przeciwko takiemu położeniu choćby do pewnego stopnia oddziałać.

Co się tyczy eksploatacyi pracownic, tę najdobitniej może scharakteryzuję, gdy zaznaczę tylko że ceny pracy igielnej od lat 10 a nawet i więcej *wcale się nie podniosły.*

Jest to okoliczność wiele mówiąca na niekorzyść dostarczycieli i dostarczycielek pracy o jakiej mowa.

Gdy drożyzna ustawicznie się wzmaga, gdy ceny najniezbędniejszych artykułów żywności z każdym miesiącem, z każdym niemal tygodniem idą w górę; gdy we wszystkich, szwalniach, magazynach i t. p., za robotę liczą dziś klientom o wiele drożej aniżeli, nie już przed 10, lecz przed trzema a nawet dwoma laty; gdy wreszcie płaca wszystkich w ogóle rękodzielników i rękodzielniczek w obec wzrastającej drożyzny podniosła się dość znacznie: jedne tylko pracownice igły poprzestawać *muszą* na jednej i tej samej wysokości zarobku, ich tylko praca *nie podrożała.*

I niechże panowie moraliści rozprawiają w obec takich warunków na temat „cnoty i godności niewieściej!“

Pytam jakiego to potrzeba hartu duszy, jakiej siły charakteru, i jakiej wreszcie podniosłości myśli, aby, przy takiem położeniu, w jakiem się znajdują u nas pracownice mające żyć z igły, nie upaść i wytrwać....

Szwaczka zarabiająca np. 3, 5, albo 7 rubli miesięcznie, ma przed sobą do wyboru dwie drogi: jedna prowadzi do moralnego upadku i wyzucia z wszelkich szlachetniejszych uczuć; druga do najstraszniejszej nędzy materyalnej, i często do głodowej śmierci.

Niewiele wybiera drogę tę ostatnią, więcej wchodzi na pierwszą, a czemu tem bardziej dziwić się nie można, że niejedna z tych biednych szwaczek, na które nasza łaskawa opinia tak łatwo i tak lekkomyślnie rzuca kamieniem potępienia; że niejedna mówię z tych „szwaczek“ nie miała zkąd zaczerpnąć choćby odrobiny światełka, nie usłyszała nigdy od nikogo o obowiązku szanowania czci własnej, nie miała nigdy zaszczepianych zasad moralności.

Sądzę że wszyscy, a szczególniej wszystkie te panie, które wyraz „szwaczka“ wymawiają z pogardliwym grymasem, lepiejby zrobiły, gdyby zamiast poniżania i lekceważenia „szwaczek“ zechciały się zastanowić, jak ciężką odpowiedzialność bierze ogół na siebie, drwiąc sobie z położenia nieszczęśliwych pracownic i nie pytając, dokąd taki stan rzeczy prowadzi.

Ile społeczeństwo, dzięki takiemu położeniu ogromnej liczby kobiet traci dobrych żon, skrzętnych gospodyń i uczciwych matek, obliczać nie będziemy, bo obliczyć trudno.

Natomiast razem z Drem Reklamem gotowiśmy zawołać: „*nędza jest wielką, pomoc jest konieczną.*“

Pomoc, ale jaka pomoc?

Pragnąłbym szczerze aby pytanie to, żywiej nieco zainteresowało publiczność, skorą przecież jeżeli nie do czynów, to przynajmniej do chwilowych... porywów.

Jednym z nader ważnych środków byłoby uorganizowanie stowarzyszenia, opartego *na wzajemnej pomocy* samych pracownic [3]). Wówczas bowiem, setki istot wyzyskiwanych, miałyby przynajmniej jakiś punkt oparcia, jakąś pomoc skuteczną w naglących potrzebach chwili. Nie usunęłoby to wprawdzie zupełnie dzisiejszej nędzy, ale w każdym razie mogłoby ją nieco złagodzić.

Zanim wszakże stowarzyszenie wspomnione będzie mogło wejść w życie, nie małą dla pracownic pomocą stać się powinno *ułatwianie nabywania przez nie maszyn do szycia.* Gdzieindziej, jak np. w Anglii istnieją w tym celu specyalne stowarzyszenia kobiet zamożniejszych, które nie dając pracownicom *jałmużny*, dopomagają im jednak, w ten sposób, że *własną pracą* mogą się wydobywać z nędzy.

U nas rozumny i prawdziwie szlachetny zapis szanownej filantropki *Tekli Rapackiej*, z przeznaczeniem „dla szwaczek na zakupywanie maszyn do szycia“ może być bardzo dobrym na tej drodze początkiem; oby tylko przykład zacnej ofiarodawczyni wywołał co rychlej szersze naśladownictwo, w pośród publiczności zdolnej do odczuwania niedoli ludzkiej.

W wielu większych miastach zagranicznych (np. w Niemczech) istnieją wielkie zakłady zajmujące się szyciem *bielizny taniej.* Produkcya tych zakładów, dochodzi znacznych stosunkowo rozmiarów a powstają one również z inicyatywy kobiet zamożnych, pragnących nieszczęśliwe pracownice uwolnić od wyzysku. Istnieją też tam niemniej zakłady zajmujące się wyłącznie, lub przeważnie przygotowywaniem *bielizny dla niemowląt* w gatunkach i po cenach najrozmaitszych.

Wiele kobiet mających zostać matkami nie ma pojęcia o pierwszych dziecka potrzebach, inne zaś napotykają przeszkody, w przygotowaniu wyprawy dla przyszłego obywatela świata. Dla tych jest rzeczą arcy dogodną, gdy wszystkiego czego w takim razie potrzeba, względnie do swej zamożności i stanu, dostać mogą każdej chwili [4]).

U nas zakładów podobnych nie ma dotąd zupełnie; dobrzeby więc było, gdyby nasze panie zamożne, nie wiedząc często bardzo, co z czasem i pieniędzmi robić, pomyśleć chciały o tem co im dać może zadowolenie prawdziwe, i zapisać się złotemi literami na pustych zwykle kartach ich... życia.

Nakoniec najskuteczniejszym środkiem usunięcia złego i zmniejszenia niedoli pracy igielnej,

[1]) Tom I-szy tego cennego dzieła wydanym został w przekładzie polskim, staraniem i nakładem redakcyi „Przeglądu Tygodniowego“ w roku 1869.

[2]) Dzisiaj naturalnie zarobki te o ile wiemy, w Niemczech są wyższe, ale też i potrzeby wzrosły, a możność wyżywienia jest coraz trudniejsza. (Przyp. autora).

[3]) Przed paru laty kwestyę tę podniosłem w jednem z pism dziennych, znalazł się nawet wówczas zacny ofiarodawca, który przeznaczył rs. 100 za napisanie najlepszej ustawy projektowanego towarzystwa. Ustawa ta konkursowa z odpowiedniem dopełnieniem, została następnie przedstawioną do zatwierdzenia, lecz dotąd nie uzyskała sankcyi. (przyp. autora).

[4]) „Praca kobiet“ Wirginii Penny.

byłoby *zmniejszenie nadmiaru rąk* garnących się ustawicznie na niewdzięczne to pole.

Niezłomne prawo ekonomiczne: żądania i zaofiarowania, odbija się tutaj z całą siłą w swych skutkach.

Do zarabiania igłą, garnie się dziś tak dobrze córka stróża, stangreta lub kucharki „z większego domu" jak i córka, lub żona urzędnika, nauczyciela, wreszcie obywatela, osiadłego z resztką funduszów w Warszawie i t. p.

Ta to nadmierna ilość kandydatek do pracy igielnej, powoduje głównie niezwykłą *taniość* tej pracy, dając pole niesumiénnej spekulacyi do eksploatowania pracownic.

Dla kobiet przeto pragnących pracować na własne utrzymanie, najważniejszą podług mnie rzeczą jest opamiętać się, że to nadmierne garnięcie się do igły, im samym największą szkodę przynosi; i że przy dzisiejszym stanie rzeczy, jest to pole które, może wprawdzie pochłonąć przedwcześnie tysiące sił młodych i wzamian dać nędzę całego życia, lecz które bytu i jakiejkolwiek niezależności, a nawet jakiegokolwiek jutra zapewnić im nie zdoła.

Jan Jeleński.

# W KRAINIE ZŁOTA.

NOWELLA.

PRZEZ

LITWOSA.

(Ciąg dalszy).

## III.

### Sacramento.

W kilka lat po odkryciu złota, zmieniło się wszystko.

Domy meksykańskie pochyliły się jeszcze mocniej na wodzie, ale w prostopadłym kierunku od rzeki, wyrosło jak grzyb po deszczu anglo-saskie „city." Po prawdzie „city" to składało się z jednej długiej ulicy, która dziś nosi nazwę: K-street, a wówczas nazywała się „ulicą górników." Bruku na niej jeszcze nie było i domy nie wznosiły się nieprzerwanym szeregiem.

W przerwach między niemi, ciągnęły się obszerne place, częścią obudowane parkanami, częścią okryte i porosłe dębami. Na początku i przy końcu ulicy wznosiły się dwa hotele: jeden pod szumną nazwą „Hotelu Gentlemanów," drugi „Szarego Niedźwiedzia." Były to najpiękniejsze budowle w mieście.

Przed niemi też dzień i noc roili się górnicy: straszne figury z nożami za pasem, w kapeluszach z poobdzieranemi rondami, o twarzach zczerniałych od słońca, dzikich, groźnych. Setki tych ludzi padły pod siekierą indyjską, lub z trudów w ciągu podróży przez pustynie Far-Westu.

Przetrwali i zostali tylko olbrzymi. I między nimi jednak grasowała febra, pobrzeże bowiem Sacramento niezdrowe. Codziennie napływały teraz nowe fale ze Wschodu. Ulica Górników wrzała nieustającym jarmarkiem. W domach pootwierano sklepy, w których sprzedawano łopaty, rydle, motyki, sita, rewolwery, karabiny, flanelowe koszule, sombrera, żywe srebro, słoninę, mąkę i wódkę.

Przychodzący górnik dobywał z zanadrza pióra napełnione piaskiem złotym i płacił, sypiąc go na kantor sklepowy. Płacił za każdą rzecz literalnie na wagę złota. Handel wogóle lepiej się opłacał niż praca górnicza. Dość powiedzieć, że funt mąki kosztował na dzisiejszą monetę dwa dolary. Cały zarobek górników przechodził do handlarzy. Dowodem tego francuz Marya, który wykopał miliony, a umarł w nędzy. Górnik nie dba o dzisiaj. Gra on w loteryę z ziemią, która każdego jutra może mu przynieść tysiące dolarów; prócz tego w owych czasach życie wisiało na włosku, nikt więc nie odmawiał sobie niczego.

Sławnie szczęśliwy Marya wchodził do sklepu obładowany złotem jak muł i nie wychodził czasem przez miesiąc, to jest póki złota starczyło; następnie gospodarz wyrzucał go pijanego w pierwszy lepszy dół, opuszczony już przez innych: wytrzeźwiony w dole, zaczynał kopać i znowu znajdował miliony.

Mówiono o nim, że złoto woła na niego z pod ziemi. Był to też mistyk. Słyszano go nieraz szepcącego pod ziemią w klemie.... z kim? Sądzono że z żółtym małym człowiekiem, o zielonych oczach, który jest duchem złota.

Handlarze więc zgarniali wszystko, co wykopał górnik. Powszechnie byli to łotry z pod ciemnej gwiazdy. Puszczali oni między sobą górników w licytacyę, tak jak u nas szlachtę żydzi. Ale też rzemiosło ich było niebezpieczne: niejeden kończył z kulą w mózgu i z nożem w sercu; niejeden ginął nagle ze świata i więcej o nim nie słyszano: nikt wówczas o nikogo nie dbał, żadna sprawiedliwość niczego nie dochodziła. Ten i ów kiwnął głową i szeptał: „wujaszek Gryzli go zabił." Gryzli, to znaczyło szary niedźwiedź. Na tem kończyło się wszystko.

Handlarze więc musieli się strzedz. Mieli oni „nugety" albo inaczej „pepity," czyli bryły złota w oknach, a rewolwery za pasem.

Życie stało się jeszcze dziksze, niż za owych czasów, gdy tartak klekotał w pustyni.

Ze Wschodu napływali ludzie najgorszego gatunku: rozbójnicy skazani na śmierć, podpalacze, złodzieje, piraci z Missisipi, awanturnicy stepowi. Europa i Ameryka wysyłała tam swoje szumowiny i męty; spokojni nawet niegdyś ludzie, dziczeli wśród pustyni i takiego otoczenia.

Rozmaite narodowości mieszały się w jeden stujęzyczny chaos: byli francuzi, niemcy, irlandczycy, yankesi, emigranci polscy, nawet indyanie.

W tej bezładnej, rozpętanej mieszaninie, nie było żadnych praw, żadnych ustaw, żadnej ochrony dla słabszych, przed silniejszymi. Jedynym regulatorem stosunków ludzkich, był rewolwer i nóż.

Ulica Górników roiła się pijanemi. Ludzie ci o rozpłomienionych twarzach, w porozwiązywanych na szyi koszulach, taczali się od jednego chodnika do drugiego, rycząc ochrzypłemi głosami: „Darling yam growing old" i strzelając dla zabawy z rewolwerów do parkanów, które też podziurawione były jak rzeszota.

Nocami na ulicy palono papierowe latarnie napuszczone łojem, lub kupy wiorów. W dzień biały, ludzie wśród natłoku widzów, bijali się na noże i nikt im nie przeszkadzał. Przeciwnie: kółka widzów, czyli tak zwani „vingi" podbudzały zapaśników. Grano także zaciekle w karty. Księżyc, który dawniej podnoszące się z nad „łąki," oświecał cichą uśpioną krainę, teraz oświecał prawdziwą gehennę ludzkiej chciwości i rozpasania.

Na placach między dębami, emigranci, nie mający jeszcze domów, rozkładali obozowiska wedle wozów. Dzień i noc płonęły tam ogniska sycone czerwonem drzewem i gałęziami sumaków; przy nich zaś świeżo przybyli gotowali strawę, lub zabawiali się po trudach długiej podróży. Owe wozy były dla nich śpichrzem, stodołą, lamusem, mieszkaniem. Wieźli w nich wszystko, zacząwszy od zapasów żywności, broni i narzędzi górniczych, skończywszy na nadziei bogactw i lepszego losu.

Czasem przychodziło do zwad, między świeżo przybyłymi, a osiedlonymi dawniej. Powód dawał zwykle jaki otrzaskany już z życiem miejscowem awanturnik, który przechodząc koło wozów, witał emigrantów obelżywem: „Hals grienhorns" (jak się macie nowiczki). Zamieniano wówczas kilkanaście strzałów rewolwerowych, co zresztą było zwykłą rzeczą w tem mieście.

## IV.

### Sacramento. Nowe żywioły.

Miasto wznosiło się szybko. Obok śpiewów pijackich, wrzasków i wystrzałów. od rana do wieczora rozlegał się w niem huk siekier. Czerwone błoto „ulicy Górników" stwardniało od wdeptanych w nie wiorów. Gorączkowe budowanie domów zrodziło swego rodzaju przemysł, który opłacał się równie dobrze jak handel, a był uczciwszym. Przemysłem tym był wyrób desek. Tartak Suttera zamilkł, jakby przerażony tem, co się w mieście działo, ale na jego miejsce powstały inne. Za parkanami potworzyły się składy drzewnych zapasów, na których czytałeś olbrzymie napisy węglem lub kredą: „Lumber for sale" (deski do sprzedania). Kto nie miał takiego szczęścia, jak Marya w szukaniu złota, rzucał kilof i taczkę, brał siekierę i mógł ciąć drzewo. Tam pod wpływem lasu, ciszy i tych wielkich tajemniczych słów, jakie puszcza szepce do człowieka, częstokroć oczyszczał się z chciwości, ze złotej gorączki i stawał się uczciwym mistykiem. Drzewo ścięte sprowadzano rzeką, do miejskich tartaków. Górnicy płacili za nie także piaskiem złotym. Praca drwali miała jeszcze inne głębsze znaczenie: oto wyłuskiwali oni ziemię z obsłon leśnych i przygotowywali ją dla rolnika.

Powoli wytworzyli osobną klasę ludzi, która była pierwszym spokojnym i uczciwym, a silnym elementem wśród tego społeczeństwa. Wkrótce można ich było na pierwszy rzut oka odróżnić od innych górników w mieście, po spokojnym i zamyślonym, lecz groźnym wyrazie twarzy. Najwięksi awanturnicy niechętnie wchodzili w drogę tym „ludziom leśnym," którzy trzymali się ze sobą tak silnie, jak ogniwa łańcucha. Utworzyli oni „artel" czyli związek, mający na celu wspólność zysków i wspólność obrony. Był to pierwszy związek społeczny w tym kraju.

Życie ich było nadzwyczaj pracowite, ale też do tego rodzaju pracy garnęli się tylko atleci.

Siekiera większych jeszcze wymaga sił niż kilof i taczka. Praca ich składała się z rąbania drzew i z walki z indyjanami. Na okrzyk „Indians" rzucali topory, a chwytali za karabiny. Zresztą bynajmniej nie byli barankami: skalpowali tak dobrze indyan, jak indyanie ich. W mieście odróżniano ich także po skrwawionych czuprynach, które zawieszali u pasa.

Wygubili oni całkowicie pokolenie Wężów, Soussonów zaś wyparli na tamtą stronę Sierra. Zaczepieni przez kogokolwiek, stawali się stra-

szni. Raz „ulica Minerów“ była świadkiem formalnej bitwy, między nimi a górnikami, w której zginęło stu dwudziestu ludzi.

Z początku byli biedni i żyli jak indyanie, a nawet gorzej jak indyanie; sypiali bowiem pod gołem niebem w lesie, a żywili się mięsem pieczonem w popiele lub w glinie. Ale następnie, w obec coraz większego zapotrzebowania desek w Sacramento, „artel“ zaczął robić doskonałe interesa, członkowie zaś jego stali się ludźmi bogatymi. W ogóle rzeczy ułożyły się w ten sposób, że najmniej złota mieli ci, co go wydobywali najwięcej, t. j. górnicy. Z czasem drwale pobudowali sobie domy, bądź to pojedynczo w lasach, bądź w blizkiem sąsiedztwie, zkąd powstały nawet nowe osady, jak np. Lathrop, miejscowość wydarta, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, szarym niedźwiedziom. W osadach tych zaczęło im się dobrze wieść, skutkiem czego zaczęło im zależeć na tem, by każdy pewnym był swej własności i życia.

W ten sposób z chaosu wyłamała się zwolna potrzeba urządzeń i zorganizowania życia.

Między górnikami chaos jednak nie ustawał, a nawet zwiększał się z powodu przybywania coraz nowych fal awanturników.

(d. c. n.)

## Z TYGODNIA.

Wszystkie już pisma doniosły, że w sprawie „Towarzystwa Przyjaciół Dzieci“ nowa odbyła się sesya w naszej redakcyi. Dyskusye nad projektem ustawy, pod prezydencyą p. Adama Goltza, trwały prawie trzy godziny. Rezultatem ich było wybranie delegatów, którzy zajmą się badaniem instytucyi dla dzieci już istniejących w Warszawie; czy dają im dostateczną opiekę i czy wystarczają potrzebom ogółu? Oto są pytania, które delegaci postawili i nad któremi obradować będą co tydzień, aby przyspieszyć zawiązanie się Towarzystwa.

Dyrektor Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, p. Papłoński, listownie proponuje, aby Towarzystwo przyłączyło się do jednej z istniejących już instytucyi; przeciwne zaś głosy domagały się, aby opieka dotyczyła wszystkich w ogóle dzieci, wspierając i rozwijając istniejące już zakłady a w razie potrzeby tworząc nowe. Myśl tę gorącemi słowy popierał na sesyi p. Eryk Jachowicz. Szanowny interlokutor napotkał jednak opozycyę co do opieki nad dziećmi ludzi zamożnych, których rodzice, być może, byliby temu przeciwni. Lecz przyznajcie, czytelniczki, czyż która z matek, choćby nawet najbogatsza, mogąca trzymać całe zastępy nianiek i bon, rozgniewa się o to, lub obrazi, jeśli członek Towarzystwa widząc dziecku jej wyrządzoną krzywdę, ujmie się za niem i uchroni od następstw. Myślę iż matka taka niewątpliwie mająca swój udział w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci, otoczy również swą opieką dziecię cudze, bez względu czy ono ubogich czy bogatych ma rodziców. Wyłączenia będą zupełnie nieuzasadnione i mylnie twierdzą ci, którzy utrzymują, iż podobna opieka wkracza w atrybucye władzy rodzicielskiej.

Bardzo być może, iż się co do tego punktu mylimy, dla tego przyjmiemy chętnie wszelkie uwagi i otwieramy szpalty naszego pisma na dyskusye tyczące tak ważnego celu, jak utworzenie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Listy zawierające ważniejsze dane, przedstawione zostaną delegacyi, którą składają p.p. A. Goltz, Roman Wierzchlejski, sędzia Moldenhawer, dr Kosmowski, dr Markiewicz, J. Jeleński, Eryk Jachowicz.

Jak nieodbicie potrzebną jest opieka nad dziećmi zostającemi w terminach, w pięknem przemówieniu udowodnił p. Moldenhawer. Większa część dzieci oddawanych do majstrów jest z prowincyi, nie mają więc tu nikogo, coby wejrzał w nielitościwe nieraz obejście się z nimi pryncypała i czeladzi starszej, przeciążenie pracą fizyczną a nie rzadko i głód. Zdarza się iż rodzice w Warszawie zamieszkali, widzą to złe, lecz obawa wydalenia z terminu, mozół szukania innego majstra, wstrzymuje ich od poskromienia nadużyć i zwykle wina pozostaje przy chłopcu, jeśli u rodziców szukał interwencyi, przedstawiając im swą krzywdę.

W Gazecie Polskiej słuszne uwagi robi p. M. B. w tym względzie, przytaczając liczne przykłady spotykane na ulicach, czego i my nieraz byliśmy świadkami, jak mali chłopcy nad siły przenoszą ciężary, posłuszni w tem swym majstrom, w nadziei zarobienia dyski na bułki, bo biedakom głód dokuczliwie doskwiera. Szlachetny powziął zamiar p. M. B., robi bowiem poszukiwania nadużyć jakich dopuszczają się majstrowie na małoletnich terminatorach, przez wyzyskiwanie ich siły, złe żywienie i srogie obejście się i ma zamiar publicznie oskarżyć tych, którzy swego postępowania w skutek odezwy jego nie zmienią.

Domaga się gwałtownie opieki dziatwa pracująca po fabrykach. Dr Markiewicz dowodami poparł swą przemowę, przytaczając obraz pracujących dzieci przy fabryce zapałek. Szkodliwe wyziewy jakie na nie działają i zły wpływ pod względem moralnym, przy nieustannem przestawaniu z starszą, niesforną młodzieżą i pod tym względem domagają się reform.

Wszystko to przemawia za jak najprędszem zawiązaniem Towarzystwa i poparciu go przez zacnie myślących ludzi. Ofiary nowe przybywają: p. Euzebiusz Dąbkowski z Nowo-Czerkaska złożył na cel ten rs. 50, p. M. Karasińska z Permu rs. 2, dzieweczka Marychna S. posłyszawszy od starszych o biednych dzieciach bez opieki, składa na cel ten rs. 3. To nam daje, miarę że niezbraknie materyalnej pomocy, gdy już wejdzie Towarzystwo w życie.

Nie wątpimy że dary z hojnością popłyną, a zapał w tak świętej sprawie stygnąć nie będzie. Oby nasze nadzieje nie były płonnemi.

— Otwierając „Szkołę Rzemiosł“ przy lokalu redakcyi, głównie mieliśmy na celu uprzystępnienie kobietom nabycia sposobów pracy. W obecnych warunkach praca jest głównym motorem bytu, zmieniły się czasy, zmieniły warunki, i dziś mało jest rodzin, których utrzymanie polegać może na pracy jednostki. Przy teraźniejszem ustroju społeczeństwa, bacząc na podrożenie wszelkich artykułów, obowiązkiem jest niemal, aby każde zdatne ręce do pracy nie próżnowały.

Zdaniem naszem każda matka powinna się starać, aby córka jej po skończeniu pensyi, lub wychowania domowego, nauczyła się dokładnie rzemiosła, nie dla formy jedynie, lecz aby z niego korzyści ciągnąć mogła. Jeśli dla własnego utrzymania nie potrzebuje i jest tak szczęśliwą że rodzice są w zamożności bez wysiłków potrzeby jej zaspokoić, może pracę swą ofiarować dla biednych. Tylu jest potrzebujących, dość wziąść które z pism w rękę, aby się przekonać, ile jest nędzy, i jakich środków olbrzymich potrzeba dla jej zaspokojenia.

Przez lat kilka dziesiątków przeszłych, dziwny zastój zapanował w mechanicznej pracy rąk kobiecych. Gdy babki nasze porzuciły kądziel i krosna, a haft przestał być modnym, bo zastąpiony maszynową robotą, zanadto spowszedniał, zatracono prawie tradycye robót kobiecych. Szycie powierzono płatnym robotnicom, bo rzadko znalazł się dom, aby panienki umiały bieliznę porządnie skroić i uszyć. Dziś gdy trudno opłacać najemnice, daje się uczuć potrzeba wydoskonalenia w zaniedbanych robotach.

Dla tego oprócz szycia i kroju bielizny, krawieczczyzny, rozpoczęliśmy naukę robótek kobiecych: haftu, wyszywania złotem, różnych galanteryjnych ozdobnych koszyczków i innych przedmiotów, robotę szydełkową, koronkową i t. p.

Lekcye trwają po dwie godziny, trzy razy tygodniowo, a opłata miesięczna wynosi rs. 4.

Na inne rzemiosła jak: introligatorstwo, kwiaciarstwo, heliominiatury, rysunek, malarstwo, zapisywać się też można, a gdy komplet z pięciu uczennic się zbierze, już naukę rozpoczniemy. Na introligatorstwo i heliominiatury brakuje tylko po dwie uczennic.

Wszelkich dokładać będziemy starań, aby szkoła ta przy redakcyi pisma dla kobiet założona, zasłużyła na miano wzorowej.

— Zawiele rozpisaliśmy się o rzeczach bliżej nas dotyczących, a może czytelniczki znudzone, radeby posłyszeć coś z nowin najświeższych. Cóż wdzięczniejszego pod pióro kronikarza cisnąć się może, jak pochwały opiewane na cześć pani Kochańskiej.

Słowik nasz tak cudownie piosnki swe dzwoni, takiemi falami srebrnych tonów nas udarowywa, że długo przyjdzie czekać, niż inny śpiew, inny głos zdoła nas podobnie zachwycić.

Jaki zapał śpiew jej rozbudza, mamy dowód w wierszach, które leżą przed nami zatytułowane: *Do Pani Marceliny Kochańskiej, pod wpływem jej śpiewu.* Nie możemy powstrzymać się, ażeby ich nie przytoczyć choć są może zadługie; lecz *naszą* chwałę, *naszą* chlubę opiewają, więc im to wybaczcie czytelniczki.

Znasz-ty szmer wieczora cichy,
Gdy eteru chwiejne fale,
Pieszczą wonne róż kielichy;
A tam w górze na lazurze,
W promieniącym skrzą opale
Inne róże: gwiazdy róże.

I czasami gwiazdka spływa,
W roztkwilonej pierś dzieciny;
Gwiazdka... zwykle... tak paląca,
Do olbrzymich dzieł pozywa,
Zmusza sięgać po wawrzyny,
Stroić się błyskami słońca....

I wykwita na tym świecie,
Chwiejnie, niby liść kaliny,
Promienistej matki dziecię.

Nikt nie widzi—tylko ono,
Ten oczyma nie ujęty,
Promieniący słońc koroną,
Lazurowych mgieł oponą
W krystaliczny promień ścięty,
Wszech harmonii gmach zaklęty.

Tuż kolumny drżą uwiane,
I o czoła marmurowe,
Przez zwierciadeł szklistych ścianę,
I promienie gwiazd łamane,
I promienie słońc tęczowe.

Sparte wieńce żywych kwiatów,
Z samych, ach! nieśmiertelników,
Z róż, fijołków i bławatów;
A na kwiatach, jak zaklęty,
Najdźwięczniejszy chór słowików,
Nieprzespanym snem ujęty.

Ach!—to gmachu Piękna dzieci,
Mistrze rylca, barwy, tonu,
Nad którémi wiecznie świeci
Jasne słońce Helikonu.

Ci, co gwiazdę, co płomieni,
Nosząc w piersiach przemarzyli,
Cały żywot swój motyli,
I do krain zszedłszy cieni,
Wieki całe błyszczą światom,
Jak harmonii wielki atom.

Piękna moja! i tyś z grona
Tych wybranych, których płoną,
Na błękitnem tle imiona,
Skier krynicą rozpaloną.

Gwiazdka twoja strunna, śpiewna,
I ujęta w tonów skalę,
Wpół wabiąca, nawpół rzewna;
A tak zmienna, jak królewna,
Przy lustrzanych ścian krysztale,
Rozdumana, rozmarzona,
Z pełnią wrzących żądz u łona.

Wyśnionemi wieszcza dumy,
Które-by niezrozumiane,
Zgasły prędko zapomniane,
Ty upajasz, nęcisz tłumy,
I orlemi tony strunna,
Eteryczna, to piorunna,
W każdym dźwięku się łamiąca;
A jednakże niepochwytna,
Nierozdzielnie falująca,
Płynie piosnka taka szczytna....
Taka—ach! nieporównana,
Bo przez ciebie wyśpiewana!

Czarodziejko moja blada,
Po co ci dyamentowa,
Na koronie tęcz kaskada?...
I bez tego tyś królowa.

I niejeden wiek przepłynie,
Nad twem czołem śniąco-bladem,
Gdy już będziesz na wyżynie,
Kędy płonie gwiazd dyadem.

*Józef Korwin.*

# POGADANKI LEKARSKIE.

PRZEZ

**Dra Wł. Chodeckiego.**

## O sercu.

(Ciąg dalszy).

Podczas snu tętno nasze jest powolniejszem, jak podczas czuwania; każde w ogóle naprężenie muskularne powiększa częstość ruchów sercowych a przez to i częstość tętna.

Ludzie w bardzo sędziwym wieku mają tętno tak szybkie jak małe dzieci; a jednak u starców życie uczuciowe bardzo małą gra rolę, a na pierwszy plan występuje egoizm i troskliwość o własne „ja."

Po przyjęciu pokarmu częstość naszego tętna się powiększa, bo pokarmy podniecają działalność serca. Co jest jednak najbardziej interesującem, jakkolwiek dotąd nieobjaśnionem, że częstość tętna podnosi się w porze, w której zwykle obiadować zwykliśmy, bez względu na to, czyśmy przyjęli pokarm lub nie.

Nowożytny Cezar, Napoleon I, miał nadzwyczajnie powolny puls: tylko 40 razy na minutę; to też i charakter wielkiego korsykanina był stałym i nieugiętym, nie powodującym się łatwo zewnętrznemi okolicznościami.

Tak więc działalność serca możemy kontrolować przez puls, ten bowiem odpowiada jego uderzeniom; ale możemy też za pomocą słuchu sprawdzić, czy serce normalnie spełnia swoją funkcyę.

Między piątem a szóstem żebrem, po stronie lewej klatki piersiowej, widzimy wyraźne, perodyczne podnoszenie się i zapadanie klatki piersiowej. Nazywamy to „biciem serca." Ale wskutek czego powstaje to uderzenie serca o klatkę piersiową? Rozmaici uczeni, rozmaite dawali objaśnienia, z których żadne nie było wystarczającem; objaśnienie, które my podajemy jest nadzwyczajnie prostem i ogólnie przyjętem, a zasadza się na dobrze znanem prawie, że jeżeli ciało jakieś wydrążone wypycha będącą w niem zawartość, wykonywa ono ruch przeciwny kierunkowi wypchniętej zawartości.

Wiedzą o tem dobrze myśliwi, że fuzya po wystrzale odbywa zawsze poruszenie w tył: temu prawu musi być posłusznem i serce. Wielka tętnica zwana aortą, do której serce ściągając się wyrzuca krew, leży z tyłu serca i w górnej części jego. Wypchnąwszy więc krew do tętnicy, serce usiłuje poruszyć się w kierunku przeciwnym t.j. na dół i naprzód, ale znajdując przeszkodę w klatce piersiowej, o nią uderzać musi.

Widziałaś pewno, czytelniczko, jak lekarz w tem miejscu, gdzie poruszenia serca najbardziej są widoczne, przykłada rurkę zwaną „stethoskopem." Jaki to ma cel?

Lekarz chce się przekonać, czy serce ściągając się, wydaje tony, czy też szmery.

U każdego zdrowego człowieka przyłożywszy ucho do miejsca między piątem a szóstem żebrem, słyszymy dwa tony: pierwszy dłuższy, drugi krótki; tony więc powstają przy normalnem funkcyonowaniu serca, szmery zaś zdradzają jego stan chorobliwy. Musimy jednak dokładnie objaśnić, wskutek czego powstają te tony i szmery. Co do powstawania pierwszego tonu, długo uczeni byli różnego zdania: jedni twierdzili, że powstaje on tylko wskutek ściągania się mięśnia sercowego, bo każdy mięsień ściągając się wydaje ton, a nasze serce jest to mięsień jak każdy inny; inni znowu powstawanie tego tonu przypisywali klapkom, położonym na granicy między komórkami a przedsionkami.

Doświadczenie rzeczywiście wykazuje, że jeżeli za życia, zamiast pierwszego tonu słyszeliśmy szmery, w takim razie sekcya pośmiertna dowiodła, że klapki nie zamykały się szczelnie, a więc w powstawaniu pierwszego tonu muszą mieć udział i klapy. To też prawda i tu w pośrodku leży, t. j. pierwszy ton zawdzięcza swe powstawanie zarówno ściąganiu się mięśnia sercowego jak i ściąganiu się samych klapek.

W powstawaniu zaś drugiego tonu biorą udział same tylko klapki. Tak więc lekarz wysłuchawszy tony sercowe, wie w jakim stanie znajduje się serce, jakby je miał na dłoni. Ta nauka zwana auskultacyą, jest jedną z najszacowniejszych zdobyczy rozumu ludzkiego.

Ale serce, powiesz czytelniczko, przesyłając wszystkim organom krew, jako mięsień silnie pracujący, musi również zużywać ogromną ilość krwi bogatej w tlen. Uwaga twoja, czytelniczko, jest słuszną:

Serce pamięta o drugich, ale nie zapomina i o sobie... do serca dochodzą oddzielne naczynia krwiste, których właśnie specyalnem przeznaczeniem jest zasilać je krwią arteryalną. Serce nie zasilone dostateczną ilością krwi arteryalnej, przestaje spełniać swe funkcye t. j. wpędzać krew do tętnic. Co do wielkości serca, to ono będąc małem u dzieci, z wiekiem zyskuje na objętości; serce jest przeciętnie tak wielkiem jak nasza pięść. Interesującemi i ważnemi pod naukowym względem są badania berlińskiego uczonego Virchowa, stwierdzające, że serce i tętnice u dotkniętych blednicą są zwykle bardzo słabo rozwinięte, a serce szczególniej bardzo jest małem i pozbawionem zwykłej elastyczności.

Teraz przychodzimy do bardzo ważnego punktu, a mianowicie, co pobudza serce do ciągłego ruchu? Serce jest mięśniem, a inne mięśnie poruszają się pod wpływem woli, wychodzącej z mózgu. Na poruszenia zaś serca wola nasza nie ma najmniejszego wpływu; czynność serca jest aktem zupełnie od naszej woli niezależnym. Serce pracuje ciągle: od kolebki, aż do grobu, a my nie posiadamy środka wstrzymać je, jak również nie posiadamy środka wprawić go w ruch gdy raz bić przestanie. Zacznijmy od obserwacyi faktów codziennego życia: każda gospodyni ma sposobność obserwować, że jeżeli wyjmiemy wnętrzności ze świeżo zabitej ryby i serce położymy oddzielnie, kontynuje ono swój kurcz rytmiczny jeszcze z pół godziny, jeżeli tylko znajduje się w zwykłej atmosferze; bo serce umieszczone pod kloszem zawierającym gazy nieprzydatne dla oddychania, jak np. wodór, bić przestaje. Obserwacya ta jest nadzwyczaj ważną dla objaśnienia przyczyny ciągłego ruchu serca, pozwala ona nam z całą ścisłością wnioskować, że przyczyna ruchu serca znajduje się w niem samem. Ale w którym punkcie? Badania anatomiczne uczą nas, że w mięsie serca znajdują się włókienka nerwowe w formie pojedynczych węzłów; te włókienka nerwowe znajdują się szczególniej hardzo obficie w ściance przegradzającej komórkę lewą od prawej. Jeżeli te węzełki nerwowe wytniemy, wtenczas serce bić przestaje; one więc są właściwemi motorami ruchu serca, jakkolwiek wyznać musimy, że wiele pozostaje jeszcze do zrobienia w tej kwestyi.

Krew po odżywieniu całego organizmu wraca przez żyły do serca, t. j. dokładnie się wyrażając, do przedsionków.

Te znowu ściągając się, wypędzają krew do komórek, te zaś ostatecznie krew, do tętnic. Za pośrednictwem zaś tych ostatnich, krew rozchodzi się po całem ciele.

Jak wielki Newton wyrzekł, iż Stwórca oka, musiał znać doskonale prawa optyki, tak my możemy zastosować to samo do serca i powiedzieć, że serce zdradza w Stwórcy Jego, znajomość mechaniki.

Śmierć rachujemy od ostatniego ściągnięcia się serca; ucho przyłożone do piersi nie słyszy już „tonów serca," ręka nie czuje pulsu, a mózg nie zasilany krwią bogatą w tlen, traci świadomość świata zewnętrznego... następuje śmierć.

(d. n.)

# POWRÓT Z GOLGOTY.

(Obraz Franciszka Krudowskiego w salonie Ungra).

O wieczornym zmroku szarym, ze skalistej Golgoty, po niekształtnie wyciosanych schodach, zstępuje Matka Chrystusowa wsparta na ramieniu ukochanego przez Jej syna, młodzieńca, Jana z Bethsaidy. Za nią Marya z Magdali z drugą niewiastą, podąża w rozpacznym szale: to główne figury obrazu. Po prawej stronie na drugim już planie, okryte płótnem białem zwłoki Chrystusa, niosą, Nikodem i Józef z Arymatei, a dalej rysujące się na wieczornem chmurnem niebie kontury Jerozolimy: oto całość obrazu.

Franciszek Krudowski, uczeń Akademii Wiedeńskiej, to podobno młody bardzo, bo dwudziestoletni dopiero młodzieniec, krakowianin rodem. „Powrót zaś z Golgoty" jego pierwsza, poważna, większych rozmiarów praca, studyum akademickie.

I, że to studyum, oparte na świeżo odbytych, ale bardzo sumiennych studyach klasycznych i wzorach religijnej włoskiej szkoły, a z niej jeszcze przedewszystkiem na Rafaelu, Corregiu i Carlo Dolcim, to uderza zaraz przy pierwszym na obraz rzucie oka.

Harmonia, spokój, powaga i estetyczność linii u figur wszystkich, które to znamiona są także najsilniejszą i najpiękniejszą cechą postaci włoskiej szkoły religijnej z XVI wieku, uderzają przedewszystkiem w obrazie Krudowskiego.

Dalej, w postaci Matki Chrystusowej, idealność jej boleści, która, jakkolwiek wielka, bezmierna, nie zdradza się ni jękiem, ni ruchem żadnym takim, któryby popsuł choć najlżej, klasycznie zarysowaną, miękko a poważnie opadającą draperyę długiej jej szaty. Jak całość postaci, tak i twarz szlachetnie piękna, odpowiadają sobie charakterem. Przebyte razem z synem, odcierpiane strasznie jeszcze męczarnie Jego, boleści konania i śmierć nareszcie, rzuciły Ją bezsilną już zupełnie w objęcia ukochanego ucznia

i jego oddały opiece. Z bezsilnością i spokój boleści pojąć łatwiej można, ten spokój całej Jej postaci.

Zawsze też prawie taką, w rzeźbie i malarstwie pojmowano Madonnę; słodycz, łagodność, spokój, ból głęboki lecz cichy: oto przeważnie uczucia wyrażane w postaci Matki Chrystusowej, z różnemi ma się rozumieć odcieniami, całą szeroką tych uczuć gammą. Matka, Matka nawet Chrystusa, była dotąd matką tylko bolejącą nad śmiercią syna. Myśl, że śmierć ta, to nowa dla świata era, to światło dla ludzkości, to słońce jej wschodzące z ostatnim na Golgocie Jego jękiem, to nie śmierć a *życie*, nie opromienia boleści Matki Jego, lecz rzuca ją bezsilną pod stopy tego krzyża, na którym skonał Zbawiciel, choć ona jest tego Zbawiciela Matką.

Św. Jan Krudowskiego myśli jednak i czuje inaczej: on widzi w tej śmierci, życia początek, i mimo litości i miłości dla Matki ukrzyżowanego, na młodzieńczem jego czole, w promiennem, choć jakby łzą świecącem spojrzeniu, jaśnieje tu wiara, ufność, siła, zapał, z którym później głosząc słowa nauki Mistrza swego, stał się jednym z najpotężniejszych filarów Chrześciaństwa. Autor Apokalipsis, może już w chwili tej, ma przeczucie jednego z tych objawień swoich, które później na Pathmos spisane, mistycznym swym czarem porywały serc miliony i przykuwały je do tego krzyża, od którego on odchodzi teraz. Św. Jan, to najsilniejsza i najpiękniejsza postać obrazu Krudowskiego. Nie ten to niebieskooki i jasnowłosy młodzieniec, ze spojrzeniem tylko gołębiem, uśmiechem tylko słodkim, stojący zawsze obok Chrystusa, cień postaci Jego, jakim go zawsze prawie, w epoce Rafaela i uczni jego widzimy; ale święty, natchniony, o gwiaździstem spojrzeniu, kurczem boleści drgającem licu, apostoł wiary nowej, pisarz ewangelii, u stóp którego, jako symbol orlego polotu jego ducha, mieszczą tego królewskiego ptaka. Patrząc na tę piękną postać młodzieńczą, czytasz z niej dalsze jego i późniejsze dzieje, on cię wzrusza najsilniej i zajmuje najmocniej w obrazie, i w nim jednym zdaje nam się, że indywidualność malarza występuje jedynie, ztąd więc i zajęcie największe.

Św. Jan ma także klasyczną estetyczność linii, prawidłowość akademickiego rysunku, pochodzenie z włoskich wzorów, ale, ma i część duszy malarza, część może młodzieńczych jego marzeń, wiar i nadziei.

Szlachetne one są i piękne, te *własne* drgania duszy artysty, i dla tego z taką radością serdeczną, witamy tę pierwszą u nas pracę młodego rodaka i wielkie kładziemy w nim nadzieje.

Za tą pierwszą parą, podąża Magdalena pokutnica, owa piękna Marya z Magdali, strojna w swe tradycyjne w malarstwie, długie jasne kędziory, któremi obcierała Chrystusowe po namaszczeniu stopy, a które tu rozwiane w około jej postaci, silniej, namiętny ból jej i rozpacz malują. Twarz ma dłońmi zakrytą, szlocha i idzie za ciałem ukochanego Mistrza, którego, po nad inne ukochała goręcej, w którym cała odrodzenia jej siła. Druga obok niej postać kobieca, to znów inny, odmienny typ boleści; z czterech głównych obrazu figur przez odsunięcie na plan dalszy, rysuje się ona najmniej wyraźnie, lecz cały układ figury wypowiada także ponury wyraz bólu. Ma w górę wzniesione oblicze, poważna, spokojniejsza niż jej towarzyszka idzie za zwłokami Chrystusowemi, rozmyślając może o proroctwie zmartwychwstania.

Matka Chrystusowa, to boleść matki, tracącej wszystko z śmiercią syna. Jan św. w śmierci Mistrza widzący nowe świty, spadkobierca nauki Jego, w boleści u krzyża zaczerpujący siły i pokutnica Magdalena, boleść gorącej namiętnej duszy, pod krzyżem tracącej nadzieje.

Część widzialna postaci Chrystusa, okryta białą draperyą i niosący go ku dolinie Józef i Nikodem, i w dali się rysujące mury Jerozolimy, i skała Golgoty z trzema u wierzchu jej krzyżami, chmurne niebo, szary mrok wieczorny i mgły tumanu: wszystko to razem stanowi harmonijną, pełną powagi, spokoju i smutku, albo może tęsknoty, całość; obmyślaną rozważnie, wykonaną sumiennie i starannie; i dodać znów musimy opartą, na pracowitych studyach najlepszych wzorów. Dla samego młodego wieku p. Krudowskiego, liczyć mu się to winno nawet za zasługę; lecz że czujesz iż to studyum nie własny głos duszy, dla tego piękny ten obraz, nie porywa, nie tak, jakby się spodziewać należało po wielkości i tragiczności przedstawionej chwili porusza, ale nasuwa pamięci całe szeregi biblijnych włoskiej szkoły postaci.

Jeden Jan św. a mianowicie twarz tylko jego, wyraz jej i oczu i myśl widniejąca na młodzieńczem czole wybijają się z całości obrazu jako punkt najsilniejszy indywidualności malarza i zajmują najwięcej.

A dlaczego, powiedzieliśmy już wyżej.

Jak ten chmurny dzień na Golgocie, takie chmurne, ponure i szare światło dnia październikowego oświecało wystawę; miałem już odejść, nie spodziewając się ani jednego słońca promienia któryby rozjaśnił niebiosa, gdy, nadeszłe trzy postacie do pustego salonu zajęły mnie bardzo. Kobiety, rysami do siebie podobne; najstarsza, może czterdziesto a może pięćdziesięcioletnia, czarno ubrana, blada i jakby słaba, najprzód oczami krzesła poszukiwała; podniosłszy się podałem jej go, za co uprzejmym, poważnym ruchem głowy z cieniem uśmiechu na bladych ustach podziękowała mi. Zajęła mnie postać jej odrazu, lecz gdy zobaczyłem ten smutny uśmiech, co nawet jako zdawkowa moneta powszechnej grzeczności nie umiał być już innym jak tylko smutnym uśmiechem, tak jakoś bez wiedzy mojej, przykuła mą uwagę do siebie, że stanąwszy w framudze okna tak, bym twarz jej widział dobrze, patrzyłem na nią ze szczególnem zajęciem. Druga kobieta, młodsza, piękna, bardzo do starszej podobna, gustownie i modnie ubrana, wydała mi się jej siostrą, a matką młodziutkiej panienki, o dużych ciemnych oczach, rozumnie i ciekawie w świat patrzących.

Widocznie kobiety te, znały dobrze całą wystawę, a przyszły tylko „Powrót z Golgoty" obejrzeć, gdyż odrazu, nie rozglądając się w około, przed tym stanęły obrazem. Panienka o coś matkę zapytała i cicho szeptały o obrazie wpatrując się w niego z smutkiem i zajęciem. Starsza blada kobieta, z początku patrzyła jakby obojętnie, ale stopniowo smutna, szlachetna twarz jej wyraz zmieniała; około ust zaczęły się jakieś linie rysować i osiadać, na czoło występowały zmarszczki, ciemne oczy rozszerzały się coraz bardziej i ponurego nabierały blasku, a cień jakiś, jakby powiew nieszczęścia po całem rozlał się licu.

Młodsza towarzyszka odwróciła się wtedy i o coś spytać chciała, ale spojrzawszy w twarz patrzącej, zamilkła i z widocznym niepokojem a z miłością patrzyła w nią bacznie. Czy znała ten wyraz twarzy, który, co chwila silniejszego nabierał wyrazu, czy wiedziała w myśli w tej chwili blada kobieta, co czuje, przypuszczamy, bo pomyślawszy chwilkę, coś postanowiła, a wydobywając z pod okrycia zegarek, chciała pewno o powrocie coś wspomnieć; gdy starsza kobieta odwróciła się do niej sama, podniosła się, postąpiła parę ku obrazowi kroków, a z twarzą zmienioną już nie do poznania i z tragicznym niemal na niej bólu wyrazem, prawie głośno powiedziała:

— Tak, boleść Matki Chrystusa, może być taką spokojną, taką cichą boleścią; mogłaby nawet być boleścią inną, o! inną, dodała w uniesieniu, a po twarzy jej do ponurej burzy podobnej, przemknął w tej chwili jakby światło, jakby słońca promień. Matka Chrystusowa może podnieść ku górze ramiona, jasne, czyste czoło podnieść śmiało ku niebu a oczu nie spuszczać ku ziemi, bo, dała ludzkości syna, co zginął za tę ludzkość, więc boleść jej nie jest najstraszniejszą boleścią, choć widziała śmierć syna.

Dziewczynka zbladłszy słuchała słów tych a chwytając za rękę mówiąca, spytała, nim matka zdążyła pospiesznym giestem nakazać jej milczenie.

— A jakaż, ciociu, może być boleść jeszcze większa nad widok śmierci syna?

— Hańba jego.... wymówiła cichym, ponurym, strasznym jak hańba, głosem, a purpurowej krwi struga zalała całe jej oblicze.

— Siostro,.. pójdźmy, wyszeptała jak śmierć blada, z drżącemi u rzęs łzami młoda kobieta i uchwyciwszy ją za rękę, uprowadziła.

Długo, jak długo nie wiem nawet z miejsca ruszyć się nie mogłem, tragiczność tej chwili, boleść tej matki, legła mi na piersi kamieniem.

Jak ona musiała kochać tego syna, jakie wielkie pokładać w nim nadzieje, jakie wielkie w sercu swojem przeznaczyć mu cele, a jakiego wielkiego doznać zawodu!

Boleści takiej nie widziałem dotąd nigdy i pewno nie ma nad nią straszniejszej!

---

# NAD BRZEGIEM MORZA.

NOWELLA,

przekład z niemieckiego

Stefanii B.

(Ciąg dalszy).

— Nie wiem; ale jeśli nie ma, to możesz pani kazać sprowadzić: mam pełnomocnictwo wypełnić każde jej życzenie. Poruczyli mi ofiarować pani 600 talarów w rok a jeśli tego zamało, możesz pani zażądać więcej.

— Zupełnie dostatecznie—przerwałam.

— Czy masz pani jakie rekomendacye? Zajmowałaś kiedy podobne miejsce?

— Nigdy—odpowiedziałam, śmiejąc się przy jednej myśli, że siostrzenica pani Ewers potrzebuje rekomendacyi.—Lepiej, gdy pomówię z panem otwarcie. Poróżniłam się z moją opiekunką i opuściłam jej dom, chcę więc sama na siebie pracować, i jeśli mi pan powierzysz ten obowiązek, możesz być pewnym, że wypełnię go sumiennie.

Adwokat z zadziwieniem spojrzał na mnie.

— Prosiłbym panią zaufać mi, i opowiedzieć wszystko nie skrywając imienia.

— Dobrze—rzekłam—ale pod warunkiem, że prawdziwe moje nazwisko zostanie tajemnicą dla waszej klientki.

Adwokat podał mi rękę z dobrodusznym uśmiechem, ja wtedy opowiedziałam mu o sobie, i jak tego się domyślałam, nazwisko ciotki mojej nie było mu obce.

— Ponieważ nie chcę żeby i drugim było wiadome pokrewieństwo moje z panią Ewers, będę się odtąd nazywać imieniem mojej matki, Linden.

Adwokat ukłonił mi się, przyznać muszę z daleko większym szacunkiem przed Maryanną Ewers, niż przed tem nieznajomej guwernantce.

— Wkrótce zapewne pani namyśli się i powróci pod rodzinny dach, tymczasem myślę, miłą dla niej przemianą będzie zwiedzenie wschodniego brzegu morza.

— Powrót nie prędko nastąpi—rzekłam, wiedząc że Bruno nie mógł prędzej mnie poślubić, jak za dwa, albo trzy lata.—Kiedy będę mogła udać się w podróż?

— Im prędzej, tem lepiej. Osoba zajmująca to miejsce w ciągu ostatnich trzech lat, na nieszczęście umarła przed tygodniem. Umarła nagle w hotelu, przyjechawszy do Berlina za interesami. Dawno cierpiała na serce, ale nie chciała opuszczać młodej damy zostającej pod jej opieką.

Otwarta twarz adwokata na chwilę zachmurzyła się.

Tu ukrywa się jakaś tajemnica—pomyślałam sobie: jakby ją poznać?

— Jeszcze nie powiedziałeś mi pan nazwiska damy—zapytałam—oraz gdzie mieszka?

— Należy pojechać koleją żelazną do Królewca, a ztamtąd pocztą do Althhausenu.

— A nazwisko damy?

— To niepotrzebne—odrzekł sucho—jej tam nikt nie zna. Pani Hein, gospodyni mojej klientki, prowadzi cały dom i do niej należy się

zwrócić. Czy mogę jednak poradzić pani jedno, co wyjdzie na jej korzyść?

— Bądź pan łaskaw—rzekłam śmiejąc się w duchu z jego ostrożności.

— Muszę zwrócić pani uwagę, że lepiej nie rozpytywać się, chociaż nie jedno dziwnem się pani wyda w Alhthausenie; istnieje tam mała tajemnica, którą teraz jeszcze należy trzymać w ukryciu, tajemnica ta jednak nie zawiera nic przestępnego ani hańbiącego. Czy ta wiadomość wystarczy pani?

— W zupełności—odrzekłam.—Kiedyż mogę zająć miejsce?

— Jak tylko pani będzie mogła, choćby jutro. Młoda dama jest teraz zupełnie samotną. Wydatki będą zwrócone i jeśli pani pozwoli, ja dam zaliczkę.

Dla uniknienia kłopotu w podróży, poprosiłam o niewielką sumę, co, w połączeniu z mojemi pieniędzmi, powinno było wystarczyć na drogę; adwokat okazał gotowość zaliczenia większej sumy, lecz ja go zapewniłam, że to będzie dostateczne.

— Jeśliby pani uważała że brakuje cokolwiek do jej wygody, proszę do mnie napisać tylko: mam upoważnienie zaspokoić każde jej żądanie.

Na pożegnanie serdecznie uścisnął moją rękę i wróciłam do hotelu wzruszona niespodziewanemi przejściami i niezmiernie ciekawa tego, co mnie wkrótce spotkać miało. Dwa dni temu, byłam domniemaną dziedziczką znacznego majątku, dziś płatną towarzyszką tajemniczej damy, która zdawała się nie mieć innego nazwiska tylko klijentka.

A teraz, dalej w tajemniczy Alhthausen!—rzekłam sobie wesoło, wchodząc na schody hotelu.

Przeszłe życie wydawało mi się niezmiernie nudnem w porównaniu z tem, które mnie oczekiwało. Napisałam do Brunona, zawiadamiając go o mojem postanowieniu; lecz upuściłam list na banhofie, wsiadając do wagonu, żeby narzeczony swemi namowami nie wpłynął na zmienienie mego planu. Teraz, gdyby nawet ciotka ofiarowała mi napowrót miłość swoją i majątek, i to nie zwróciłoby mnie z obranej drogi.

Przed wyjazdem zajęłam się kupnem kilku skromniejszych sukien, mających zastąpić moją zbyt wykwintną garderobę, a nazajutrz rano siedziałam już w wagonie, który miał mnie zawieźć do celu mojej podróży.

W południe stanęliśmy w Królewcu, a ponieważ poczta dnia tego nie odchodziła do Alhthausen, więc nie tracąc czasu i podług porady adwokata nie wypytując o mieszkańców Alhthausenu, najęłam karetę i puściłam się w dalszą drogę. Po kilku godzinach nudnej jazdy, wjechaliśmy w ulicę ubogiej wioski, gdzie już słychać było szum morskich bałwanów.

Woźnica spytał, gdzie stanąć, a gdym kazała zatrzymać się przed dworem; on spojrzał na mnie ze zdziwieniem i potrząsając głową zaciął konie.

Po upływie kwadransa kareta stanęła.

Miał słuszność adwokat mówiąc, że miejscowość ponura; naokoło nie było widać ani jednej ludzkiej siedziby, ani śpiew ptasząt, ani dziecinne głosy nie naruszały martwej ciszy: ani jedno drzewo, lub kwiatek nie rozweseliły oka. Wielki dom z pozieleniałego kamienia nie nosił na sobie stylu żadnej architektury, chociaż nie był pozbawiony malowniczości; ale jak mógł człowiek, który kocha ten piękny świat zbudować sobie mieszkanie w takiem miejscu!

Ogólnemu widokowi jednak nie można było odmówić jakiejś ponurej piękności; dom frontem stał ku morzu, którego szum był jedynym odgłosem przerywającym tę grobową ciszę.

Zadzwoniłam u drzwi i zadrżałam, usłyszawszy głos dzwonka.

Po chwili klucz zaskrzypiał w zamku i stary sługa stanął przedemną z nizkim pokłonem.

— Pani z Berlina?—spytał napół pytająco.

— Tak—odpowiedziałam—więc mnie już oczekiwaliście?

— Proszę dalej—rzekł nie odpowiadając mi.

Udałam się za moim przewodnikiem, który z przedpokoju puprowadził mnie do sali umeblowanej z wielkim komfortem, gdzie ujrzałam fortepian, co mnie niezmiernie uradowało. Dla mnie bowiem, com namiętnie kochała muzykę, instrument ten był jak gdyby żyjącą istotą. Tymczasem stary sługa zniknął i po chwili pokazał się w towarzystwie nie młodej kobiety, ubranej w czarną suknię i oślepiającej czystości wielki czepiec. W ręku trzymała rozpieczętowany list i rzekła skłoniwszy mi się uprzejmie:

— Adwokat Engelmann, polecił mi przygotować wszystko na przyjęcie pani.

— Dziękuję—rzekłam—chciałabym pójść do niego pokoju i proszę, żeby mi tam przynieśli rzeczy.

— Zastanie pani tam ogień na kominku i herbatę.

— A kiedy będę się mogła widzieć z samą panią?

— Może dziś wieczór, albo jutro rano, jeśli panienka dziś zmęczona. Jak pani zażąda tego, ja dam znać.

— Jeszcze raz dziękuję. Dwie godziny odpoczynku w zupełności mnie pokrzepią.

— Pozwól pani, panno Linden, pokazać sobie wasze pokoje—rzekła nakoniec gospodyni, spojrzawszy w list, czy stosownie wymówiła moje nazwisko.

Jeśli zdumiona byłam zewnętrzną stroną domu, niemniej poraził mnie wewnętrzny komfort, z jakim urządzone było mieszkanie, na tym bezludnym brzegu morza. Pokój mój był również wytwornie urządzony a jasne wesołe ściany, zdawały się witać mnie z uśmiechem. Na kominku płonął ogień, z boku stał stolik z herbacianym przyborem i obfitą zakąską.

— Sądziłam że nie od rzeczy będzie, posilić się panience po drodze—rzekła uprzejmie gospodyni—jeśli jeszcze co brakuje, to proszę zadzwonić: moja siostrzenica będzie na usługi panienki.

Gospodyni wyszła i ja swobodnie zaczęłam się rozpatrywać w mojem nowem mieszkaniu. Rzeczywiście nie brakowało niczego do wygody, bardziej nawet wymagającej, aniżeli ja lokatorki. Rozpakowałam kufry i ułożywszy rzeczy, wzięłam jednę z przywiezionych książek i zasiadłam do stołu.

Niezwykła dla mnie cisza, wciąż zalegała dom, rzadko tylko słychać było skrzyp otwieranych drzwi i niewyraźny szum morskich bałwanów. Mimowoli, mój przed chwilą wesoły pokój, teraz wydał mi się więzienną celą; lecz ponieważ nie w charakterze moim, było oddawać się smutnym myślom, z całem zajęciem oddałam się czytaniu książki, dopóki mrok wieczorny nie zapadł i ja zmęczona podróżą i doznanemi wrażeniami zasnęłam, myśląc o otaczającej mnie tajemnicy.

---

Nazajutrz, po przebudzeniu pierwszem mojem uczuciem była ciekawość. Dziś przecież powinnam zobaczyć młodą damę, której miałam być towarzyszką. Kto ona i dla czego żyje w takiem osamotnieniu, było jedynym przedmiotem moich myśli.

Po śniadaniu, nie bez lekkiego uczucia strachu poszłam za gospodynią, która mi oznajmiła że mam widzieć się z panią domu.

— Pokażę drogę pani, panno Linden—rzekła prowadząc mnie przez długi, ciemny korytarz—pani najchętniej przesiaduje w tym pokoju i rzadko ztąd wychodzi.

Zauważyłam, że gospodyni ciągle używa słowa „pani“ widocznie, pomyślałam, nie chce powiedzieć jej imienia.

Jeżeli tajemnicza dama rzeczywiście lubiła ciszę i samotność, to miała słuszność, wybrawszy ten właśnie pokój. Jak już mówiłam mieścił się on w końcu długiego ciemnego korytarza. Ciężkie zapuszczone portyery u drzwi i miękki dywan zupełnie zagłuszały odgłos kroków. Było cicho, jak w grobie. Gospodyni lekko zastukała i słaby, głuchy głos dał się słyszeć z głębi: „Wejdźcie.“

Otworzyłam drzwi i dziwny widok przedstawił się moim oczom.

U wązkiego, wysokiego okna, jakie tylko spotkać można w starych angielskich zamkach, siedziała nawpół leżąc na poduszkach młoda dziewica, z ciemnemi, ognistemi oczyma, bezmyślnie utkwionemi w morze. Wzrok ten mówił więcej niż słowa. Zdaleka wydała mi się dzieckiem prawie.

— Kto tam?—spytała nie odwracając głowy.

— Maryanna Linden — odrzekłam — powiedzieli mi, że pani chcesz się ze mną widzieć.

— Przepraszam—mówiła jak gdyby przestraszona, lekko podnosząc się z krzesła—myślałam, że znów przyszli nudzić mnie z obiadem.

— Jabym nie przeszkadzała pani, ale powiedzieli mi, że pani życzy sobie widzieć się zemną.

— Ach tak—rzekła, i znów oparła się na poduszki, a twarz przybrała ten sam, na wszystko obojętny wyraz.—Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, ale ja zupełnie o niej zapomniałam.

Mimowoli uśmiechnęłam się na taką otwartość, widocznie młoda dama, nie była światową osobą.

— Z czego się pani śmieje—spytała.

— Pomyślałam, że będąc na miejscu pani, więcejbym okazała ciekawości, mając pierwszy raz widzieć osobę, która będzie moją towarzyszką.

— A pani, czy była ciekawą mnie zobaczyć?

— Naturalnie—odpowiedziałam.

— Chciałabym też wiedzieć, co teraz myślisz pani, zobaczywszy mnie?

— Na to pytanie będę w możności odpowiedzieć dopiero za rok.

— Za rok! Ach te nieskończenie, nieskończe nie długie lata—zawołała z westchnieniem—jakżebym chciała, gdyby przeszły, lub niezaczynały się nigdy dla mnie!

Patrzałam na nią z zadziwieniem; teraz bardziej trudno byłoby mnie wypowiedzieć o niej swoje zdanie, tak sprzecznemi były powyżej wyrzeczone słowa z dziecięcą prawie jej powierzchownością. Pomimo wyrazu niemej boleści rozlanego na całej twarzy, nie wyglądała na więcej, jak na lat ośmnaście. Była wysokiego wzrostu, nadzwyczaj kształtna, a drobne ręce z długiemi cienkiemi paluszkami były niemal przezroczystej białości. Twarz mogłaby być skończenie piękna, gdyby nie wyraz obojętności i martwoty, który ją robił podobną do marmurowej statuy. Czarne oczy były przyćmione mgłą smutku, choć mi się zdawało, że w głębi wrzał wulkan stłumionych uczuć. Ogromne bogactwo lśniącej czarności włosów, niedbale zczesane od skroni, były upięte na tyle głowy w prosty węzeł, co niezmiernie psuło szlachetne linie głowy, jak również kontury całej postaci, niewyraźnie ginęły w fałdach szerokiego ubrania. Widocznie młoda dama zupełnie była obojętna, na szczegóły tualety i nie starała się o podwyższenie swych wdzięków. Miałam przed sobą młode dziewczę, które straciło już powabny urok dzieciństwa, a jeszcze nie rozwinęło się w pełnię kobiecej piękności. Szczególniej uderzyła mnie melodyjność jej głosu: drżała w nim skarga i duma, co niezmiernie wiele dodawało wdzięku. Gdy tak uważnie rozpatrywałam jej powierzchowność, ona tymczasem wpadla w zwykłą apatyę i niczem nie okazywała chęci przerwania tego milczenia.

— Czy mogę cokolwiek zrobić dla pani?—spytałam nakoniec—może przeczytać co głośno?

— Nie, dziękuję, ja nigdy nie czytam.

— Jest tu fortepian.... Nie życzy sobie pani, abym zagrała, lub zaśpiewała?

— Nic nie rozumiem w muzyce —odrzekła.

— Może rysuje pani? To zaczniemy szkice.

— Jak żyję nie miałam w ręku ołówka—mówiła smutno.—Ale pani nie powinna tak wyraźnie mówić oczami, ja w nich jasno czytam zapytanie: co właściwie umiem, i czem się zajmuję?

— Lękam się, czym nie pomyślała czegoś podobnego—odpowiedziałam trochę zmięszana.

— Jeśli mam otwarcie pani powiedzieć, to dla mnie nie ma już życia. Serce moje rozbite....

— Panno Linden—rzekła po chwili z lekkiem ożywieniem w głosie—czy nie lepiej będzie, jeśli się odrazu wzajemnie zrozumiemy? Ja powiem prawdę. Jesteś pani tu przysłana pomimo mojej woli, mnie nie potrzeba żadnego towarzystwa. Jestem bardzo nieszczęśliwa, w życiu mojem nie ma żadnego celu i nic nie zdoła mi go nadać. Dawno powinnam umrzeć, tylko serce moje zdaje się czerpać siłę w tem cierpieniu.

(d. c. n.)

# OD REDAKTORKI I WYDAWCZYNI

# „NOWYCH MÓD PARYZKICH.“

Być organem wszystkich potrzeb *kobiety-obywatelki*:—oto cel naszego pisma, do którego stale zdążamy.

Mając potrzeby te na względzie i popierając szczerze każdą chęć do pracy, kobiet naszych, czuliśmy się w obowiązku ułatwić także nabycie uzdolnienia fachowego, które dziś najpewniejszy chleb dać może.

W tym celu, z dniem 1-*go Listopada b. r.* otworzyliśmy przy lokalu redakcyi:

## „SZKOŁĘ RZEMIOSŁ“

gdzie wykładane będą wszystkie, przystępne dla kobiet zajęcia, poczynając od najpotrzebniejszych t. j.

### NAUKI KROJU BIELIZNY I SUKIEN.

W miarę przybywania uczennic i rozwijania się zakładu, wszelkie GAŁĘZIE PRACY KOBIECEJ jako to: kwiaciarstwo, koronkarstwo, introligatorstwo galanteryjne, drzeworytnictwo, retuszowanie, heliominiatury, rysunek, malarstwo i t. p. wejdą w program nauki. Ceny za naukę oznaczać będziemy nizkie, aby najmniej nawet zamożnym kobietom dać możność korzystania z zakładu.

Obecnie zapisywać się można na:

Lekcye kroju bielizny i sukien, kurs całkowity rs. 15.
Lekcye heliominiatur, kurs całkowity rs. 15.

Chcąc aby nauka kroju była połączoną z niezbędną w takich razach praktyką, otwieramy równocześnie, przy redakcyi:

## PRACOWNIĘ SUKIEN I BIELIZNY,

zasilaną wzorami najmodniejszych fasonów z Paryża.

Również przy lokalu redakcyi istnieje: ZAKŁAD FORM PAPIEROWYCH, który będąc urządzonym na większą skalę, dostarczać jest w możności najświeższych fasonów bibułkowych.

Żurnale z Paryża, dwa razy w tydzień świeże nadchodzą.

Osobna sala pomieści SZKOŁĘ SZYCIA, gdzie panienki, po skończeniu pensyi mogą uczęszczać dla nabrania wprawy w tak potrzebnej nauce.

W razie dostatecznej liczby uczennic do NAUKI KORONKARSTWA, sprowadzoną będzie nauczycielka z zagranicy.

Rodzice na prowincyi zamieszkali mogą stale córki swe umieszczać, u przełożonej zakładu, a zarazem redaktorki „Nowych Mód Paryzkich“

**Maryi Ratyńskiej.**

☞ W skutek potrzeby powiększenia lokalu, *redakcya*, *pracownia sukien*, *formy bibułkowe*, tudzież *szkoła pracy dla kobiet*, przeniesioną została **pod N. 8 przy ulicy Niecałej**, i tam też *zapis uczennic się odbywa*.



**Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Rycina kolorowana i Dodatek powieściowy, Lord Brackenbury, 2.**

Дозволено Цензурою. Варшава 7 Ноября 1880 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**